

ALBATROS

MOJA KUZYNKA

Rachela

Daphne
du Maurier

Autorka słynnej *Rebeki i Ptaków*
Muza Alfreda Hitchcocka

Tytuł oryginału:
MY COUSIN RACHEL

Copyright © The Estate of Daphne du Maurier 1951
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2018

Polish translation copyright © Zofia Uhrynowska-Hanasz 1992

Korekta: Maciej Krupa

Zdjęcie na okładce: © tanais/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/
wydawnictwoalbatros



1

Dawnymi czasy wieszali ludzi przy Czterech Zakrętach.

Teraz już nie wieszają. Dziś, jeśli mordercę spotka zasłużona kara, dzieje się to w Bodmin, po uczciwym procesie na sesji wyjazdowej sądu. O ile naturalnie wcześniej nie zabije go własne sumienie. Lepsza jest jednak śmierć z wyroku prawa – przypomina bowiem operację chirurgiczną. No i oczywiście skazaniec ma godziwy pochówek, choć bezimienną mogiłę. Za moich dziecięcych czasów było inaczej. Pamiętam, że jako mały chłopiec widziałem takiego człowieka wiszącego w łańcuchach u zbiegu czterech dróg. Twarz i całe ciało miał posmarowane smołą dla zakonserwowania. Wisiał tak przez pięć tygodni, zanim go odcięli, a ja go widziałem w czwartym tygodniu.

Huśtał się pomiędzy niebem a ziemią na szubienicy albo, jak to mówił mój kuzyn Ambroży, między niebem a piekłem. Nieba nie miał nigdy zakosztować, a piekło, którego zaznał, było już poza nim. Ambroży trącił ciało laską. Widzę je jak dziś – tańczące na wietrze niby chorągiewka na dachu – nieszczęsny, przypominający stracha na wróble ludzki szczątek. Spodnie zbutwiały na deszczu i strzępy wełnianej tkaniny zwisały ze wzdętych członków jak rozmoczony

papier.

Była zima i jakiś żartowniś dla zabawy zatknął mu w rozdartą kurtkę gałązkę ostrokrzewu. Nawet mnie, wówczas siedmiolatkowi, wydało się to oburzające, ale nie odezwałem się słowem. Ambroży musiał mnie tam zabrać celowo – żeby poddać próbie moją zimną krew: chciał zobaczyć, czy ucieknę, czy będę się śmiał, czy płakał. Jako mój opiekun, ojciec, brat i mentor, jako w gruncie rzeczy cały mój świat, poddawał mnie nieustannym próbom. Pamiętam, że obeszlśmy szubienicę dokoła i Ambroży od czasu do czasu trącał ciało laską, aż w pewnym momencie zatrzymał się, zapalił fajkę i położył mi rękę na ramieniu.

– Widzisz, Filipie – powiedział – co nas wszystkich w końcu czeka. Jednych spotka to na polu bitwy, innych w łóżku, jeszcze innych wedle sądzonego im przeznaczenia. Od tego nie ma ucieczki. Człowiek nie może być za młody na taką lekcję. Popatrz, jak umiera zbrodniarz. To ostrzeżenie dla ciebie i dla mnie, byśmy wiedli uczciwe życie.

Staliśmy tak ramię w ramię, patrząc na kołyszące się ciało, jakbyśmy byli na jarmarku w Bodmin, a trup był starą Sally, do której się strzelało za koronę.

– Popatrz, do czego może doprowadzić chwila słabości – ciągnął Ambroży. – Oto Tom Jenkyn, głupi i pocziwy, dopóki nie wypił za dużo. Prawda, że jego żona była wiedźmą, ale to jeszcze nie powód, żeby ją zabić. Gdybyśmy zabijali kobiety za ich języki, wszyscy mężczyźni staliby się mordercami.

Żałowałem, że wymienił nazwisko tego człowieka. Do tej pory bowiem ciało było dla mnie przedmiotem, bez żadnej tożsamości. Od chwili, kiedy po raz pierwszy moje oczy spoczęły na szubienicy, ponad wszelką wątpliwość wiedziałem, że będzie do mnie wracało w snach, martwe i potworne. Teraz nabrało związku z rzeczywistością, z człowiekiem o wodnistych oczach, który w mieście na molo

sprzedawał homary. W lecie stał zazwyczaj przy schodach, z koszykiem u nóg, i puszczał żywe homary, urządzając im – ku uciesze dziatwy – fantastyczne wyścigi. Jeszcze nie tak dawno widziałem go po raz ostatni.

– No, i co powiesz? – zapytał Ambroży, nie spuszczając oczu z mojej twarzy.

Wzruszyłem ramionami i kopnąłem podstawę szubienicy. Ambroży nigdy się nie dowie, jak bardzo mnie to obeszło: na ów widok dosłownie zamarło mi serce i byłem przerażony. Pogardzałby mną. W wieku lat dwudziestu siedmiu Ambroży jawił mi się panem wszelkiego stworzenia, a już z pewnością bogiem mojego skromnego świata i jedynym celem mojego życia było mu dorównać.

– Kiedy widziałem Toma po raz ostatni, miał świeżą cerę – odrzekłem. – Teraz nie jest nawet na tyle świeży, żeby być przynętą dla swoich homarów.

Ambroży roześmiał się i wytargał mnie za ucho.

– Wspaniały z ciebie chłopak – oświadczył. – Mówisz jak prawdziwy filozof. – I po chwili, jakby coś do niego dotarło, dodał: – Jeśli ci jest niedobrze, idź tam za krzaki i sobie ulżyj, i pamiętaj: ja cię nie widziałem.

Z tymi słowy odwrócił się plecami do szubienicy i do czterech dróg i ruszył wolno nową aleją, którą w tym czasie właśnie brukowano, a która przecinając las, służyła jako droga dojazdowa do domu. Ucieszyłem się, widząc, że odchodzi, nie zdążyłem bowiem nawet dobiec do krzaków. Potem poczułem się jednak lepiej, chociaż jeszcze mną trzęsło i zęby mi szczękały. Tom Jenkyn znów stracił tożsamość i stał się dla mnie czymś w rodzaju starego worka – martwym przedmiotem. A nawet celem dla kamienia, którym w niego cisnąłem. Z duszą na ramieniu czekałem, aż ciało się poruszy. Nic się jednak nie stało. Kamień z miękkim pacnięciem trafił w rozmiękkłe szmaty i upadł na ziemię. Wstydząc się własnego

postępu, pobiegłem nową aleją, żeby dogonić Ambrożego.

No cóż, wszystko to zdarzyło się przed osiemnastu laty i o ile pamiętam, nie myślałem o tym aż do owego momentu kilka dni temu. To dziwne, że w chwilach kryzysu człowiek wraca pamięcią do dzieciństwa. Ostatnio stale myślę o biednym Tomie i o tym, jak wisiał w swoich łańcuchach. Nigdy nie słyszałem jego historii i sądzę, że mało kto dziś ją zna. Zabił żonę, jak powiedział Ambroży. I to wszystko. Była wiedźmą, lecz to nie powód, żeby ją mordować. Pewnie uraczywszy się nadmierną ilością alkoholu, zabił ją w pijanym widzie. Ale jak? Jakim narzędziem? Nożem czy gołymi rękami? Być może tej zimowej nocy wytoczył się z gospody przy molo, cały rozpalony miłością i gorączką. Wysoka fala omywała stopnie, a na wodzie lśnił srebrzyście księżyc w pełni. Kto wie, jakie to śmiałe marzenia ożywiały niespokojnego ducha Toma, jaki nagły wybuch fantazji?

Może dobrnął do domu za kościołem, blady, z załzawionymi oczami, cuchnący homarami, a gdy tylko przestąpił próg, żona zburzyła jego marzenia, robiąc mu awanturę, że wchodzi z brudnymi butami, i wtedy ją zabił. To bardzo prawdopodobne. Z powodzeniem tak właśnie mogło być. Jeśli – zgodnie z tym, czego nas uczą – istnieje życie po śmierci, to kiedyś odszukam biednego Toma i go zapytam. Razem będziemy marzyć o czystcu. Ale Tom był starym człowiekiem, po sześćdziesiątce, a ja mam dwadzieścia pięć lat. Nasze marzenia nie byłyby jednakowe. Wracaj więc, Tomie, w swoje mroki i zostaw mnie w spokoju. Szubienica już dawno przepadła i ty przepadnij wraz z nią. W swojej głupocie rzuciłem w ciebie kamieniem. Wybacz mi, proszę.

Chodzi o to, że życie trzeba wytrzymać i przeżyć. Tylko jak przeżyć? – oto jest problem. Codzienna praca, obowiązki – to nic trudnego. Zostanę sędzią pokoju jak Ambroży, a z czasem członkiem parlamentu. Jak wszyscy w rodzinie, będę

szacownym i poważanym obywatelem, godnie uprawiającym ziemię i dbającym o swoich ludzi. I nikt nie odgadnie, jak wielki przygniata mnie ciężar i każdego dnia, nękany wątpliwościami, zadaję sobie pytanie, na które nie znajduję odpowiedzi. Czy Rachela była niewinna, czy winna? Może i tego dowiem się w czyśccu.

Jakże słodko i pięknie brzmi jej imię, kiedy wymawiam je szeptem. Pozostaje na języku, zdradliwe i powolne w działaniu jak naprawdę skuteczna trucizna. Z języka przechodzi na spieczone wargi, z warg zaś do serca. A serce rządzi ciałem i umysłem. Czy kiedykolwiek pozbędę się z myśli tego imienia? Za lat czterdzieści, pięćdziesiąt? Czy pozostawi na zawsze w mózgu ślad chorej tkanki? Małą komórkę w krwiobiegu, niezdolną do tego, by wraz z innymi podążać do źródła, jakim jest serce? Może kiedy już wszystko zostanie powiedziane i zrobione, sam nie będę chciał się od niego uwolnić? Trudno na razie to stwierdzić.

Mam dom, o który zgodnie z wolą Ambrożego powinienem dbać. Mógłbym na nowo otynkować ściany, tam gdzie wchodzi na nie wilgoć, i utrzymywać wszystko w dobrym stanie. Dalej sadzić drzewa i krzewy, by osłonić nagie wzgórza przed srogimi wschodnimi wiatrami. I pozostawić po sobie, kiedy odejdę – jeśli już nie co innego – to przynajmniej legat piękna. Ale człowiek samotny to coś niezgodnego z naturą, wkrótce więc nawiedza go niepokój. Od niepokoju już tylko krok do urojeń. A od urojeń do szaleństwa. I tak wracam pamięcią do dyndającego w łańcuchach Toma Jenkyna. Może i on tak cierpiał.

Wracam pamięcią do tej chwili sprzed osiemnastu lat, kiedy Ambroży oddalał się aleją, a ja biegłem za nim. Być może nawet miał wtedy na sobie kurtkę, którą teraz noszę. Starą, zieloną myśliwską kurtkę z łatami ze skóry na łokciach. Tak się do niego upodobiłem, że z powodzeniem mógłbym

być jego duchem. Moje oczy są jego oczami, moje rysy jego rysami. Człowiek, który wtedy zagwizdał na psy i odwrócił się plecami do czterech dróg i do szubienicy, z powodzeniem mógł być mną. No cóż, tego przecież zawsze pragnąłem najbardziej: stać się do niego podobny. Mieć jego wzrost, jego ramiona, przygarbione plecy, nawet jego długie ręce i dość niezdarnie wyglądające dłonie, jego nagły uśmiech, nieśmiałość przy pierwszym spotkaniu z nieznanym, niechęć do wszelkiego zamieszania, do ceremonii. Oraz swobodę w kontaktach z tymi, którzy go kochali i mu służyli. Ci, co mówią, że mam to i ja, pochlebiają mi bardzo. I siłę, która okazała się złudą, w wyniku czego obaj popadliśmy w te same tarapaty. Zastanawiałem się ostatnio, czy kiedy zmarł, miotany wątpliwościami i dręczony strachem, samotny i opuszczony w tej przeklętej willi, gdzie mnie przy nim nie było – czy jego duch opuścił ciało, by wrócić do domu i żyć dalej we mnie, powtarzając te same błędy. I by również zapaść na tę samą chorobę, i zginąć po dwakroć. Być może. Wiem jedno: że to podobieństwo do niego, z którego byłem tak dumny, stało się przyczyną mojej klęski. Gdybym był innym człowiekiem, szybkim i energicznym, wygadany i z głową na karku, ubiegły rok okazałby się tylko kolejnymi dwunastoma miesiącami, co przyszły i minęły. Miałbym przed sobą szczęśliwą, udaną przyszłość. Z małżeństwem w perspektywie i być może gromadką dzieci.

Ale ja nie miałem żadnej z tych cech, jak zresztą i Ambroży. Obaj byliśmy marzycielami, nieżyciowymi i zamkniętymi w sobie, pełnymi wielkich teorii, które nie miały się gdzie sprawdzić, i jak wszyscy marzyciele, pozostawialiśmy głusi na głosy świata. Nie lubiąc innych ludzi, sami pragnęliśmy miłości, nieśmiali jednak z natury, trwaliśmy w uczuciowej śpiączce, dopóki nasze serca nie zostały przebudzone. A gdy to nastąpiło, otwierały się przed nami niebiosa i byliśmy

skłonni oddać dosłownie wszystko. Obaj byśmy to przeżyli, gdybyśmy byli innymi ludźmi. Rachela przyjechałaby tak samo, ale spędziwszy noc czy dwie na farmie, poszłaby swoją drogą. Omówilibyśmy interesy, dokonali pewnych ustaleń, testament zostałby otwarty formalnie wobec siedzących wokół stołu prawników, a ja – oceniając sytuację na pierwszy rzut oka – zapewniłbym Racheli dożywocie i w ten sposób bym się jej pozbył.

Stało się jednak inaczej, bo byłem podobny do Ambrożego. Stało się inaczej, bo czułem jak Ambroży. Kiedy do niej szedłem, wtedy pierwszego dnia po przyjeździe, i zapukawszy, przystanąłem pod drzwiami jej pokoju z lekko pochyloną głową z powodu niskiej futryny, a Rachela wstała z krzesła przy oknie i na mnie spojrzała – już wtedy, po błysku w jej oczach, powinienem był się domyślić, że widzi nie mnie, tylko Ambrożego. Nie Filipa, tylko ducha. I już wtedy powinna była wyjechać. Spakować manatki i wyjechać. Wrócić tam, gdzie jej miejsce, do willi z żaluzjami, zatęchłej od wspomnień, do sztucznego ogrodu tarasowego, do fontanny tryskającej pośrodku małego dziedzińca. Wyjechać do swojego kraju, prażonego letnim słońcem, zasnutego mgiełką upału, a zimą surowego pod roziskrzonym chłodnym niebem. Jakiś instynkt powinien był ją ostrzec, że pozostanie ze mną oznacza katastrofę nie tylko dla cienia, który spotkała, ale również w końcu i dla niej.

Zastanawiałem się, czy widząc mnie wtedy, jak stoję nieśmiały, niezręczny, chmurny i pełen urazy, a jednak dojmująco świadom swojej pozycji gospodarza i pana domu, świadom boleśnie swoich dużych stóp, ramion i nóg niezdarnego, kanciatego, nieujężdżonego żrebaka... czy ona wtedy – dumałem – pomyślała szybko: tak musiał wyglądać Ambroży w młodości. Zanim się zjawił w moim życiu. Nie znałam go takim. I dlatego została?

Może również właśnie dlatego ów Włoch Rainaldi podczas naszego krótkiego spotkania spojrzął na mnie, jakby doznając nagłej iluminacji, którą jednak szybko pokrył zadumą, i bawiąc się piórem, zapytał łagodnie: „Pan przyjechał dopiero dzisiaj? To znaczy, że pańska kuzynka Rachela jeszcze pana nie widziała?”. Jego też ostrzegł jakiś instynkt. Niestety, za późno.

Życie się nie cofa. W życiu nie ma powrotów. Nie ma drugiej szansy. Tak samo nie mogę odwołać wypowiedzianego słowa czy dokonanego czynu jak biedny, dyndający w swoich łańcuchach Tom Jenkyn.

A przecież mój ojciec chrzestny, Nick Kendall, w swój bezpośredni, obcesowy sposób zaledwie kilka miesięcy temu – ale... o Boże, jakżeż dawno – powiedział mi w przeddzień moich dwudziestych piątych urodzin: „Są kobiety, Filipie, w zasadzie dobre, które nie z własnej winy sprowadzają na innych ludzi nieszczęście. Czegokolwiek się tkną, zamieniają to w tragedię. Nie wiem, dlaczego ci o tym mówię, ale czuję, że muszę”. A następnie poświadczył mój podpis na tamtym dokumencie.

Nie, nie ma powrotów – chłopca, który stał pod jej oknem w przeddzień swoich urodzin, chłopca, który stał pod drzwiami w dniu jej przyjazdu, już nie ma, tak jak nie ma dziecka, które dla dodania sobie fałszywej odwagi rzuciło kamieniem w wisielca. Tomie Jenkyn, ty nieszczęsny obrazie doli człowieczej, nierozpoznawalny i nieopłakiwany – czy owego dnia przed laty, kiedy biegłem przez las na spotkanie przyszłości, patrzyłeś na mnie z politowaniem?

Gdybym się wtedy obejrzał przez ramię, zamiast ciebie, dyndającego w łańcuchach, powinienem był zobaczyć własny cień.

2

Kiedy tak siedzieliśmy z Ambrożym pogrążeni w rozmowie przed jego wyjazdem w tę ostatnią podróż, nie miałem żadnego złego przeczucia. Żadnego przeczucia, że już nigdy nie będziemy razem. Mijała trzecia jesień, od kiedy lekarze zalecili mi spędzanie zimy za granicą, i zdążyłem się przyzwyczaić do jego nieobecności i do zarządzania majątkiem. Pierwszej zimy byłem jeszcze w Oksfordzie, więc nie odczułem szczególnej różnicy, ale już następnej przyjechałem do domu na dobre – zgodnie zresztą z jego życzeniem. Nie tęskniłem za stadnym życiem Oksfordu, szczerze mówiąc, byłem rad, że mam je już za sobą.

Tak naprawdę nigdy nie chciałem być nigdzie indziej niż właśnie w domu. Poza szkolnymi latami spędzonymi w Harrow, a potem w Oksfordzie, nie mieszkałem nigdzie poza tym domem, do którego przybyłem jako osiemnastomiesięczne niemowlę po śmierci moich młodych rodziców. Ambroży, na swój dziwny i wielkoduszny sposób zdjęty współczuciem dla maleńkiego sierotanego kuzyna, wychował mnie sam, tak jakby wychował szczenię czy kocię, czy jakiegokolwiek inne kruche, opuszczone i wymagające opieki stworzenie.

Nasz dom był dziwny od samego początku. Kiedy skończyłem trzy lata, Ambroży wyrzucił moją opiekunkę za to, że przetrzepała mi tyłek szczotką do włosów. Nie pamiętam owego epizodu, ale Ambroży mi o nim później opowiadał:

– Byłem wściekły, kiedy zobaczyłem, jak ta kobieta wielkimi, twardymi łapskami obrabia twoje małe ciało za jakieś drobne przewinienie, którego przyczyn w swej głupocie nie potrafiła zrozumieć. Potem już sam się zająłem twoim wychowaniem.

Nigdy nie miałem powodu tego żałować. Nie było chyba człowieka sprawiedliwszego i sympatyczniejszego, a zarazem bardziej wyrozumiałego. Nauczył mnie alfabetu w najprostszy sposób: według pierwszych liter brzydkich wyrazów. Znalezienie aż dwudziestu czterech kosztowało go trochę wysiłku, ale jakoś sobie poradził – po czym ostrzegł mnie przed używaniem tych słów w towarzystwie. Choć bardzo uprzejmy, był szalenie nieśmiały i nieufny wobec kobiet: uważał, że zawadzają w domu. Zatrudniał więc tylko służbę męską, powierzając pieczę nad nią staremu Seecombe’owi, który był zarządcą jeszcze u mojego wuja.

Ekscentryk, być może – zachód Anglii zawsze słynął z dziwaków – ale poza opiniami na temat kobiet i wychowania małych chłopców Ambroży nie był stuknięty. Sąsiedzi lubili go i poważali, a dzierżawcy po prostu kochali. Zimą, zanim połamał go reumatyzm, strzelał i polował, latem łowił ryby z małej żaglówki, którą trzymał na kotwicy u ujścia rzeki, odwiedzał innych i sam przyjmował u siebie gości, kiedy miał na to ochotę, w niedzielę dwa razy chodził do kościoła, choć gdy kazanie było za długie, robił do mnie miny sponad rodzinnej ławki, a także, jak mógł, starał się zaszcześcić we mnie zamiłowanie do hodowania rzadkich roślin.

– To taka sama forma tworzenia – mawiał – jak każda inna. Niektórzy hodują zwierzęta; ja wolę to, co rośnie w

ziemi. Wymaga mniej wysiłku, a wyniki są znacznie bardziej satysfakcjonujące.

Oburzało to zawsze mojego chrzestnego ojca, Nicka Kendalla, i pastora Huberta Pascoe, a także innych przyjaciół Ambrożego, którzy go namawiali, żeby się wreszcie ożenił i zamiast rododendronów hodował dziatwę.

– Wychowałem jednego szczeniaka – odpowiadał, ciągnąc mnie za ucho – co mi zabrało czy może dołożyło dwadzieścia lat życia, zależy jak się na to spojrzy. W Filipie mam gotowego spadkobiercę, nie mówmy więc o obowiązku. On go za mnie spełni, kiedy przyjdzie czas. A teraz, rozsiądźcie się, panowie, wygodnie w fotelach i bawcie się dobrze. Nie ma w domu kobiet, więc możemy kłaść nogi na stół i pluć na dywan.

Naturalnie nic takiego nie robiliśmy. Mój wuj był bardzo wytwornym człowiekiem, ale ogromnie lubił robić takie uwagi wobec nowego pastora, biednego pantoflarza z pokątną trzódką córek. Tak więc po niedzielnym obiedzie krążyło wokół stołu wino, a Ambroży ze swojego honorowego miejsca puszczał do mnie oko. Widzę go jeszcze dzisiaj, jak na wpół leży w swoim fotelu, lekko przygarbiony – od niego zresztą nabrałem tego zwyczaju – trzęsąc się od hamowanego śmiechu, którym kwitował nieśmiałe i nieskuteczne protesty pastora, a następnie jakby w obawie, że go uraził, zmienia temat rozmowy, intuicyjnie przechodząc do problemów dogodniejszych dla duchownego i robiąc wszystko, żeby gość czuł się jak u siebie w domu. Te zalety Ambrożego doceniałem szczególnie po wyjeździe do Harrow. Wakacje mijały mi o wiele za szybko, kiedy porównywałem jego sposób bycia z towarzystwem urwisów, których miałem za szkolnych kolegów, i nauczycieli, sztywnych i poważnych, a przez to mało ludzkich.

– Nie przejmuj się – mawiał, poklepując mnie po ramieniu, kiedy błady i trochę zapłakany wyruszałem do Londynu. – To

po prostu proces nauki, jak ujeżdżanie konia, trzeba przez to przejść. A kiedy już będziesz miał szkolne lata za sobą, a będziesz je miał, zanim się obejrzysz, przywiozę cię do domu na dobre i sam się zajmę twoją dalszą edukacją.

– Edukacją w jakim kierunku?

– No, jesteś przecież moim dziedzicem. Już samo to wystarczy za profesję.

I tak jechałem ze stangretem Wellingtonem do Bodmin, by tam złapać odchodzący do Londynu dyliżans. Pamiętam, jak się odwracałem, żeby jeszcze przez chwilę popatrzeć na Ambrożego, jak stoi w otoczeniu psów, z wyrazem pewności i zrozumienia w zmrużonych oczach, z gęstą wijącą się czupryną, która już zaczynała siwieć. I kiedy zagwizdawszy na psy, zbierał się do odejścia, przetykałem bryłę, którą miałem w gardle, czując pod sobą koła powozu nieubłagane i ostatecznie unoszącego mnie żwirowanym podjazdem, przez park i białą bramę, koło stróżówki, ku szkole i rozłące.

Nie wziął jednak w rachubę swego zdrowia i kiedy miałem już szkołę i uniwersytet za sobą, na niego przysła kolej wyjechać.

– Powiedzieli mi, że jeśli jeszcze jedną zimę spędzę w strugach deszczu, to skończę na wózku inwalidzkim. Muszę poszukać słońca. Niech to będą wybrzeża Hiszpanii czy Egipt, gdziekolwiek nad Morzem Śródziemnym, gdzie jest sucho i ciepło. Nie mam specjalnej ochoty wyjeżdżać, ale niech mnie diabli, jeśli chciałbym skończyć jako kaleka. Ten wyjazd ma jedną zaletę: przywiozę rośliny, jakich nie ma nikt. Zobaczymy, czy tym szelmom spodoba się kornwalijska gleba.

Pierwsza zima nadeszła i minęła; podobnie druga. Ambroży musiał dobrze się bawić i nie sędzę, żeby czuł się samotny. Wrócił z niebywałą wprost liczbą drzewek, krzewów i roślin ozdobnych wszelkiego kształtu i koloru. Jego namiętnością

były kamelie. Założyliśmy więc szkółkę samych kamelii i – czy to z powodu zręcznych palców Ambrożego, czy jego czarodziejskiego dotyku, nie wiem – w każdym razie rosły nam wspaniale od samego początku i nie straciły ani jednej.

Mijały miesiące; nastała trzecia zima. Tym razem Ambroży zdecydował się na Włochy. Chciał zwiedzić ogrody Florencji i Rzymu. Żadne z tych miast nie jest w zimie upalne, ale to mu nie przeszkadzało. Zapewniono go, że powietrze tam jest suche, choć chłodne, i nie trzeba się obawiać deszczu. Tego ostatniego wieczoru rozmawialiśmy do późna. Ambroży nigdy nie kładł się wcześniej i często przesiadywaliśmy w bibliotece do pierwszej czy drugiej w nocy – czasem w milczeniu, czasem pogrążeni w rozmowie – z długimi nogami wyciągniętymi przed kominkiem i z psami zwiniętymi w kłębki u naszych stóp. Jak już mówiłem, nie miałem wtedy żadnego złego przeczucia, ale teraz, wracając pamięcią do tamtych chwil, zastanawiam się, jak to było z Ambrożym. Patrzył zatroskanymi, pełnymi zadumy oczami to na mnie, to na wykładane boazerią swojskie ściany biblioteki ze znajomymi obrazami, to znów przenosił spojrzenie na ogień w kominku, a z ognia na śpiące psy.

– Szkoda, że nie możesz ze mną jechać – odezwał się nagle.

– Spakowanie się nie zajmie mi wiele czasu – odrzekłem.

Pokręcił głową i uśmiechnął się lekko.

– Żartowałem – powiedział. – Nie możemy zostawić domu na tyle miesięcy. Bycie ziemianinem to ogromna odpowiedzialność, chociaż niewielu podziela mój pogląd w tej sprawie.

– Mogłbym z tobą pojechać do Rzymu – zaproponowałem podniecony tą perspektywą – i jeśli mnie nie zatrzyma pogoda, wrócić na Boże Narodzenie.

– Nie – odrzekł powoli. – To był taki kaprys. Zapomnij o

tym.

– Ale czujesz się dobrze, prawda? Nie dokuczają ci żadne bóle ani strzykania?

– Mój Boże, nie! – Roześmiał się. – Za kogo ty mnie masz? Za inwalidę? Od miesiący nie wiem, co to reumatyzm. Wiesz co, chłopcze, problem polega na tym, że ja mam fioła na punkcie domu. Może jak będziesz w moim wieku, łatwiej to zrozumiesz.

Podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Rozsunął ciężkie zasłony i stał tak przez chwilę, patrząc na trawę. Wieczór był cichy, spokojny. Kawki odleciały, zamilkły nawet sowy.

– Jestem zadowolony, że skończyliśmy ze ścieżkami i przysunęliśmy trawę do domu – powiedział. – A będzie jeszcze ładniej, kiedy murawa dojdzie aż do padoku. Będziesz musiał kiedyś powycinać tamte krzewy, żeby otworzyć widok aż na morze.

– Co chcesz powiedzieć przez to, że ja będę musiał powycinać krzewy? Dlaczego nie ty?

Nie od razu odpowiedział.

– Na jedno wychodzi – odezwał się wreszcie. – Na jedno wychodzi. Bez różnicy. W każdym razie pamiętaj o tym.

Mój stary wyżeł Don podniósł łeb i spojrzał na Ambrożego. Widział w przedpokoju powiązane pudła i czuł atmosferę towarzyszącą wyjazdom. Dźwignął się na łapy i stanął koło niego ze spuszczonym ogonem. Zawołałem cicho na psa, ale mnie nie posłuchał. Wystukałem fajkę do kominka. Zegar na dzwonnicy wybił godzinę. Z pomieszczeń dla służby dochodził dudniący głos Seecombe’a, łąjącego chłopca z pokoju kredensowego.

– Ambroży... – poprosiłem – Ambroży, weź mnie ze sobą.

– Filipie, nie bądź głupi, idź do łóżka. – I to było wszystko.

Więcej na ten temat nie rozmawialiśmy. Nazajutrz rano przy śniadaniu wydał mi jeszcze ostatnie polecenia co

do wiosennego sadzenia roślin i różnych innych spraw, które miałem pozałatwiać przed jego powrotem. Coś mu strzeliło do głowy, żeby w podmokłej części parku od strony wschodniej alei dojazdowej zrobić staw z łabędziami, i wobec tego gdyby się w zimie trafiła znośna pogoda, należało ten teren wykarczować, zrobić wykop i go wymurować. Chwila odjazdu nadeszła zbyt szybko. O siódmej byliśmy już po śniadaniu, bo Ambroży musiał wcześniej wyruszyć. Miał przenocować w Plymouth i stamtąd odpłynąć, z poranną falą, statkiem handlowym do Marsylii, skąd, nie śpiesząc się, innym środkiem transportu zamierzał dostać się do Włoch; lubił długie podróże morskie. Ranek był rześki i wilgotny. Wellington podstawił pod same drzwi powóz, który już wkrótce został wysoko załadowany bagażem. Konie były niespokojne, skore do biegu. Ambroży położył mi rękę na ramieniu.

– Opiekuj się domem – powiedział. – Polegam na tobie. Nie zawieź mnie.

– To cios poniżej pasa – odparłem. – Przecież wiesz, że nigdy cię nie zawiodłem.

– Zwaliłem wielki ciężar na twoje młode barki. Tak czy siak, wszystko, co posiadam, jest twoje, dobrze o tym wiesz.

Jestem przekonany, że gdybym się uparł, pozwoliłby mi jechać. Ale nie odezwałem się już słowem. Wsadziliśmy go z Seecombe'em do powozu, z kocami i laskami, a on uśmiechnął się do nas przez otwarte okno.

– W porządku, Wellington, jedziemy – powiedział. Kiedy ruszyli podjazdem, właśnie zaczynało padać.

Mijały tygodnie, jak tamtej pierwszej i drugiej zimy. Tęskniłem za Ambrożym, jak zwykle, ale była masa spraw, które mnie absorbowały. Kiedy czułem się samotny, jechałem

w odwiedzinach do mojego chrzestnego ojca, Nicka Kendalla, którego jedyna córka, Luiza, o kilka lat ode mnie młodsza, była moją towarzyszką zabaw w dzieciństwie. Poważna dziewczyna, skromna i ładna. Ambroży żartował sobie czasem, że będzie z niej dla mnie dobra żona, ale nigdy tak o Luizie nie myślałem.

Mniej więcej w połowie listopada przyszedł pierwszy list – tym samym statkiem, którym Ambroży dostał się do Marsylii. Rejs upłynął spokojnie, pogoda była ładna, poza drobnym kołysaniem w Zatoce Biskajskiej. Czuje się dobrze, jest w dobrym nastroju i cieszy się na podróż do Włoch. Nie zdecydował się na dylizans, co by tak czy siak oznaczało podróż do Lyonu, tylko wynajął rozstawne konie i postanowił jechać wzdłuż wybrzeża do Włoch, a potem skręcić w kierunku Florencji. Wellington pokiwał głową na tę wiadomość, przepowiadając wypadek. Był święcie przekonany, że wśród Francuzów nie ma dobrych woźniców, a wszyscy Włosi są złodziejami. Ambroży jednak przeżył to jakoś i następny list nadszedł już z Florencji. Wszystkie te listy zachowałem i cały ich stos leżał teraz przede mną. Ileż razy czytałem je w ciągu ostatnich miesięcy, obracając każdy w kółko, jakbym przez sam dotyk mógł z nich wyciągnąć więcej, niż chciały zdradzić słowa.

Właśnie pod koniec tego pierwszego listu z Florencji, gdzie najwyraźniej spędził Boże Narodzenie, po raz pierwszy wspomniał o kuzynce Racheli.

Poznałem naszą kuzynkę – pisał. – Słyszałeś pewnie kiedyś, jak mówiłem o Corynach, którzy mieli posiadłość nad Tamarem, obecnie sprzedaną i znajdującą się w innych rękach. Jak się możesz przekonać, studiując nasze drzewo genealogiczne, dwa pokolenia temu Corynowie połączyli się z Ashleyami

przez małżeństwo. Potomek tej gałęzi rodziny, kobieta, urodziła się ze zubożałego ojca i matki Włoszki i została wychowana we Włoszech. W młodym wieku poślubiła włoskiego arystokratę o nazwisku Sangalletti, który rozstał się z życiem w pojedynku, jak się wydaje po pijanemu, zostawiając żonę w długach i z wielką pustą willą. Bez dzieci. Contessa Sangalletti czy też, jak każe się nazywać, moja kuzynka Rachel, to kobieta rozsądna i świetny kompan – wzięła na siebie obowiązek pokazania mi ogrodów Florencji, a później Rzymu, który, jak się okazuje, mamy odwiedzić w tym samym czasie.

Byłem rad, że Ambroży znalazł sobie towarzystwo, i to jeszcze kogoś, kto podzielał jego ogrodnicze pasje. Nic nie wiedząc o życiu towarzyskim Florencji czy Rzymu, obawiałem się, że niewielu Anglików tam spotka, ale znalazła się oto jedna przynajmniej osoba, która jeszcze do tego częściowo wywodziła się z Kornwalii, co ich dodatkowo łączyło.

Następny list zawierał niemal wyłącznie wykaz ogrodów, które, choć nie w rozkwicie o tej porze roku, zrobiły jednak na Ambrozym wielkie wrażenie. Podobnie jak i nasza kuzynka.

Zaczynam coraz bardziej cenić naszą kuzynkę Rachelę – pisał Ambroży wczesną wiosną – i z przykrością myślę o tym, ile musiała wycierpieć od tego Sangallettiego. Ci Włosi to zdradliwi szubrawcy, nie da się zaprzeczyć. Z zachowania i wyglądu jest tak angielska jak Ty i ja i z powodzeniem jeszcze wczoraj mogła żyć nad Tamarem. Może bez przerwy słuchać o Anglii i o tym wszystkim, co mam jej do powiedzenia. Jest wybitnie inteligentna, ale Bogu dzięki, potrafi trzymać język za zębami. Nie muszę

znosić nieustannego paplania, tak powszechnego u kobiet. Znalazła mi bardzo wygodne pokoje we Fiesole, niedaleko jej willi, a ponieważ robi się coraz cieplej, wiele czasu będę spędzał u niej, siedząc na tarasie albo dłubiąc w ogrodzie słynnym, jak się wydaje, z roślinności i posągów, na których się specjalnie nie znam. Z czego ona żyje, nie mam pojęcia, ale domyślam się, że musiała posprzedać sporo cennych rzeczy, żeby popłacić długi męża.

Spytałem mojego ojca chrzestnego, Nicka Kendalla, czy pamięta Corynów. Owszem, pamiętał, ale nie był o nich specjalnie wysokiego mniemania.

– Za moich chłopięcych czasów byli znani jako dość nieodpowiedzialne towarzystwo. Przegrali pieniądze i majątek, a z siedziby rodzinnej nad Tamarem zostało zaledwie nędzne gospodarstwo, które jakieś czterdzieści lat temu popadło w ruinę. Ojcem tej kobiety musiał być Alexander Coryn, który rzeczywiście przepadł gdzieś na kontynencie. Był drugim synem drugiego syna. Nie mam pojęcia, co się z nim stało. Czy Ambroży podaje wiek contessy?

– Nie – odrzekłem – wspomniał tylko, że bardzo młodo wyszła za mąż, ale nie mówił, jak dawno. Myślę, że jest w średnim wieku.

– Musi być niezwykle czarująca, skoro pan Ashley zwrócił na nią uwagę – wtrąciła Luiza. – Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby podziwiał jakąś kobietę.

– Na tym prawdopodobnie polega cały sekret – powiedziałem – że jest brzydka i pospolita i wobec tego Ambroży nie czuje się zobowiązany do prawienia jej komplementów. Tym lepiej.

Przyszedł jeszcze jeden list czy dwa, zdawkowe, bez żadnych ciekawostek. Ambroży albo właśnie wrócił z obiadu u kuzynki

Racheli, albo właśnie się do niej wybierał. Ubolewał nad tym, jak niewielu spośród florenckich przyjaciół mogło jej udzielić bezinteresownej rady, co począć w jej sytuacji, i pochlebiał sobie, że jest jednym z nich. No i pisał o tym, jak bardzo jest mu wdzięczna. Pomimo bowiem licznych interesów i zajęć wydawała się dziwnie samotna. Nigdy nie miała z Sangallettim wspólnego języka i wyznała, że zawsze tęskniła za angielskimi przyjaciółmi. „Wydaje mi się, że zyskałem coś ważnego – pisał Ambroży – poza setkami nowych roślin, które mam zamiar przywieźć ze sobą do domu”.

Potem nastąpiła przerwa. Nic nie mówił o dacie swego przyjazdu, ale zwykle wracał pod koniec kwietnia. U nas zima była długa i surowa, a mróz, rzadko kiedy ostry na zachodzie, okazał się nieoczekiwanie siarczysty. Ucierpiały od niego niektóre młode kamelie i miałem nadzieję, że Ambroży nie wróci za wcześnie, to znaczy nim jeszcze ustaną ulewne deszcze i gwałtowne wichry.

Wkrótce po Wielkanocy przyszedł list od niego.

Drogi chłopcze, dziwi Cię zapewne moje milczenie. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek do Ciebie napiszę. Ale drogi Opatrzności są dziwne. Zawsze byliśmy ze sobą tak blisko, że może zdołałeś odgadnąć, jaki zamęt panował ostatnio w mojej duszy. „Zamęt” nie jest zresztą najwłaściwszym słowem. Należałoby raczej powiedzieć: radosne oszołomienie przechodzące w pewność. Wierz mi, że moja decyzja nie jest pochopna. Jak wiesz, jestem człowiekiem o zbyt uregulowanym trybie życia, żeby go zmieniać dla kaprysu. Lecz już od kilku tygodni mam pewność, że inaczej być nie może. Znalazłem coś, czego nie zaznałem nigdy przedtem i czego istnienia nie podejrzewałem. Do tej pory nie mogę w to uwierzyć.

Często myślałem byłem z Tobą, ale jakoś do dzisiaj brakowało mi odpowiedniego spokoju i równowagi, żeby do Ciebie napisać. Otóż trzeba Ci wiedzieć, że ja i Twoja kuzynka Rachela pobraliśmy się dwa tygodnie temu. Jesteśmy teraz razem w Neapolu, gdzie spędzamy miodowy miesiąc, już wkrótce jednak wracamy do Florencji. Na razie nic więcej nie mogę Ci powiedzieć, nie mamy jeszcze bowiem żadnych planów i niczego obecnie nie pragniemy, jak tylko żyć chwilą.

Pewnego dnia, Filipie, mam nadzieję niezbyt odległego, poznasz ją osobiście. Nie będę Cię męczył opisami kuzynki Racheli, zapewnieniami o jej dobroci i prawdziwej czułości. Tego doświadczysz sam. Dlaczego ze wszystkich mężczyzn wybrała sobie akurat mnie, szorstkiego cynika, który nienawidzi kobiet – naprawdę nie mam pojęcia. Rachela często z tego żartuje, a ja, muszę powiedzieć, całkowicie się poddałem. Poddać się komuś takiemu jak ona to odnieść zwycięstwo. Gdyby to nie był taki komunął, nazwałbym się zwycięzcą, a nie zwyciężonym.

Zawiadam wszystkich i prześlij im pozdrowienia w moim, jak również w jej imieniu, i pamiętaj, mój najmiłszy chłopcze i pupilu, że to późne małżeństwo w najmniejszym nawet stopniu nie może umniejszyć głębokich uczuć, jakie do Ciebie żywię, przeciwnie, może je tylko powiększyć i teraz, kiedy się uważam za najszczęśliwszego z ludzi, będę się starał robić dla Ciebie więcej niż dotychczas, ją zaś skłonię, by ze mną w tym współdziałała. Napisz szybko i jeśli możliwe, dołącz pozdrowienia dla swojej kuzynki Racheli.

Zawsze Twój oddany Ambroży

List przyszedł mniej więcej o wpół do szóstej, właśnie kiedy skończyłem obiad. Na szczęście byłem sam. Seecombe wniósł worek z pocztą i mnie zostawił. Włożyłem list do kieszeni i poszedłem przez pola aż nad morze. W pewnym momencie pozdrowił mnie siostrzeniec Seecombe'a, który miał młyn na brzegu. Rozpościerał właśnie sieci na kamiennym murze, by wychłły w promieniach zachodzącego słońca. Ledwie mu odpowiedziałem i pewnie pomyślał, że jestem opryskliwy. Wspiąłem się po skałach na wąską półkę wystającą nad niewielką zatoczką, gdzie miałem zwyczaj latem pływać. Ambroży w swojej łodzi stawał tu często na kotwicy w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów, a ja do niego płynąłem. Usiadłem, wyjąłem list z kieszeni i przeczytałem go po raz drugi. Gdybym mógł poczuć choćby najmniejszą isierkę sympatii, radości, odrobinę ciepła w stosunku do tych, którzy przeżywali swoje szczęście w Neapolu, moje sumienie byłoby spokojniejsze. Wstydząc się sam przed sobą, zły na własny egoizm, nie byłem jednak w stanie wykrzesać z siebie ani krzty życzliwości. Siedziałem, odrętwiały z rozpacy, i gapiłem się w gładką toń morza. Skończyłem właśnie dwadzieścia cztery lata, a przecież czułem się tak samotny i zagubiony jak przed laty, kiedy siedząc w ławce w czwartej klasie w Harrow, nie miałem nikogo, z kim mógłbym się zaprzyjaźnić, i nic przed sobą, poza nowym światem obcych doświadczeń, do których nie było mi śpieszno.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).